

Warszawa, dnia 2 (14) Maja 1870 roku.

№ 19. | Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. | Rok VI.

SZCZĘŚCIE.

Szczęście—owa zagadka rodu ludzkiego, w przeróżnych jawi się postaciach; najponętniejsze w stroju młodocianych marzeń, najpochmurniejsze w przeczuciach zbolałego serca, najomylniejsze, wyrachowane i oparte na suchem doświadczeniu. Nie ma człowieka na tym Bożym świecie, coby nie pragnął szczęścia, a iluż narzeka na jego niestałość, ilu złorzeczy że w dym się rozwiało, ilu zaprzysięga że jest czczą marą!

Dla jednych szczęście cudnym wyrasta kwiatem i dopóty kwitnie, dopóki go nie zmrozi nuda i zwątpienie. Dla wielu jak półwieczny kaktus, raz tylko na kwiat się zdobędzie, oczaruje wonią i zwiędnie za chwilę. Niektórym się ukaże jak błyskawica, oślepi ducha, osmoli serce i zadymi spokój sumienia. Do wielu przychodzi ze złocistą szeroką oponą, osłaniającą Niebo i prawdę. Od innych niepoznane, odwraca się smutne, jak posłaniec Boży w żałobnéj szacie.

Dla jednych szczęście ma wagę pyłku motyla, dla innych gwiazdy dziejów ludzkiego żywota. Dla wielu jest nieomylnym fatalizmem wschodnim, dla innych tylko kwietyzmem indyjskim. Dla wybranych jest testamentem dziejów Bożych na ziemi, szczęśliwych tylko miłością i ofiarą.



August Wannowski (Strona 227).

Szczęście o tyle ma ceny i wagi, o ile jest pożądane według praw sumienia. Gdy je postawimy obok objawionéj prawdy, stanie między ziemią a Niebem jak pośrednik sprawiedliwy, miłosierny, pokrzepiający w słabości i bólach.

Gdy człowiek czuje swe obowiązki, gdy je ukocha, gdy ogniwem miłości połączony z ludźmi, już przygotował w swym duchu miejsce dla szczęścia, przychodzi ono w uroczéj postaci pogodnego sumienia, co się ani złych ludzi ani biéd nie lęka, a boleść przyjmuje jako Oliwną górę, bez któréj nie ma Zmartwychwstania.

Prawdziwy chrześcijanin, targany zewsząd wichrami i burzą, nie zwątpi w szczęście, co jak pieczęci przyłożonéj sygnetem Salomona, nikt z życia jego odjąć nie potrafi.

Spokój sumienia i pogoda ducha — to łaski Bożéj zwiastuny, to kwiaty szczęścia nigdy nie więdnące. Są jednak ludzie, co gdy razy kilka zapłakali w życiu, gdy z karety przesiedli się do bryczki, gdy z miljonów zeszli na krocie, gdy na ich gwiazdę świetności spadł chmurny obłoczek, gdy ziemskie ucie-

chy nie dopisały, gdy serca złotem kupić nie mogli, najgłośniéj złorzeczą na omylność szczęścia.

Dusza, w którą wejdzie gorycz i zwątpienie, niegodne szczęścia płynącego z góry; a takie tylko nigdy nieomylne, takie pokrzepia serce zdjęte żałością, opromieniając żywot chrześcijanina w najcięższéj doli wiarą i nadzieją.

Szczęście zrodzone z boskich pierwiastków, rozrasta się tylko w czystéj duszy, jakby na świadectwo spokoju sumienia. Ideał chrześcijańskiego szczęścia, obleka się w przenajczystszą miłość dla cnoty i prawdy. Wszelka ofiara jest dodatnim szczęścia promieniem, a nieprzebrany skarbiec szlachetnych uczuć, jest niespożytym zapasem szczęścia, którem Bóg płaci miłość i ofiarę.

Biada! kto nie pojmuje takiego szczęścia i w ziemskie ubiera je tylko szaty. Nie wyrasta ono wówczas z pod serca czułego, nie krzewi się na święconéj niwie, lecz na piasczystym odłogu, otrząsa liść zwiędły i bezużyteczny.

Nieraz się słyszeć daje, że każdy inaczéj wyobraża sobie szczęście, każdy innego ma prawo żądać i nań pracować. Gdyby szczęść tyle było ile zachceń ludzkich, ile barw w naturze, tyleż byłoby i dróg, któremi dąży ludzkość do wspólnego celu. Manowców jest wprawdzie dużo, po których błądzą ludzie, lecz są tylko trzy drogi wiodące ludzkość do celu: droga miłości, prawdy i światła! Jedno zaś tylko szczęście kroczy temi drogami, rozsiewając na życie społeczeństw przeróżne promienie, w których tak żyzna siła, że zaspakaja potrzeby ducha, koi zbolałe serca, pokrzepia w ciężkich walkach z fałszem, i zamieszkuje na zawsze w pogodnem sumieniu.

W życiu ludzkiem ciężkie bywają chwile zwątpienia; ciasna teraźniejszość zwęża ramy szczęścia, głos czucia i wiary milknie w popiołach nadziei. Nim te jednostki zasłużą by nowa różyczka szczęścia wyrosła z popiołów, ileżto głosów jak z wieży Babelu mówi: że szczęście tylko w słowniku mar i złych duchów. Zwątpione jednostki w odblasku pamięci widząc utracone szczęście, na wspomnieniach jak na rozwaliskach, stawią grobowy pomnik swojemu dzisiaj i swojemu jutro.

Po pustkowiu ducha zwątpionych biedaków, tułają się gorzkie żale na omylność szczęścia, a nie wiedzą zażaleńcy, że szczęście wyrugowane ręką niewiary ze swego stanowiska, dopóty nie wraca, dopóki się nie odrodzi nadzieja w rozbolałem sercu.

Gdy się człek wmyśli w minioną przeszłość, przeniesie, przypomni sobie ile razy bolał z własnéj tylko winy, ile razy poważne oblicze szczęścia przysłonił listkiem róży, ile je razy odpędzał skrzydłem motyla, jak je nieraz zamykał w kiesce ze złotem, lub więził w buduarze pięknéj kobiety; jak sadził je na indyka z truflami lub włóczył po balach, szulerniach i bursach. Gdy pleśń na tych uciechach porosła, gdy nuda wielkim krokiem wkroczyła w progi biesiadnika, spotwarzył znieważone szczęście, wprowadzając je na forum, na którem zasiadły: ironja i zwątpienie.

I cóż mu szczęście dłużne, gdy się tak lichą wypłacał monetą, gdy na Boskie znamię dmuchnął potwarzą, gdy dar niebieski więził i znieważał!? Wielkich sił trzeba i gorącéj skruchy, ażeby skarb wykradziony samowolnie, do nas powrócił.

Ileż to na ołtarzu pustego szczęścia, składa się kwiecistych dziewiczych życzeń, wyśnionych jeszcze przy elementarnéj książce; ileż to wychodzi narzekań z ustek różanych, gdy się obali piramida szczęścia, na któréj szczycie stał mąż bogaty, wypatrzony na balach, teatrach, spacerach i innych zbiorowiskach. A jest to mąż, z którego serca miały się wysypać stroje, tytuły, bale i cały orszak zbytkownego życia. Skarga na omylność takiego szczęścia, posłana nieraz aż pod Niebiosa, gdzie dojść nie może, a obciążona kurzem marnych zawodów i żalów, opada na dół.

To co nieraz nazywamy szczęściem, jest w skutku tylko zawodem i grzechem, który się odkupuje zdjęciem zasłony z oczu. Jleż to trzeba skruchy, aby wzrok załzawiony wznieść ku Niebiosom i Wszech-Ojcu ludzkości, zanieść podziękę za biédę i bóle, co jakby dwie pochodnie rozświeciły prawdę, olśnioną fałszywem szczęściem. Z hojnéj dłoni Stwórcy, otrzymujemy dary nieraz zapoznane, a choćby karą były te dary, są one zawsze błogosławieństwem obleczonem w przeróżne kształty. Boleść i skrucha tak w piękny wieniec wespół się splatają, że są godne uwieńczyć podnóże Boga i mętne zródło marnego szczęścia, w czysty zamienić strumień.

I z dłoni złego ducha płyną obfite dary, dla wzywających szczęścia kosztem spokoju sumienia. Jakież to dary świetne, ileż w nich opium, ile snów czarownych! a zły duch radośny, chodzi wśród sennych, liczy ofiary grzesznego szczęścia, rachuje zawody jeszcze nie zrodzone, lecz już poczęte w duszy zdurzonych darami ofiar. Ten duch czarodziéj, frymarczy i kupczy ułudą szczęścia, piastuje w sercu złudzonych uczucie egoizmu, urzekając rozkoszą miękką upojone dusze.

Chrześcijańskie szczęście, to ziemia obiecana, nad którą świeci gwiazda sumienia, co błyska wśród bolów życia jak krzyż na Golgocie! Jednostki oczyszczone w płomieniach szlachetnych cierpień, dokupują się chwil szczęścia z rąk anioła-stróża.

Kto nie uprawia duchem roli Pańskiéj, kto nie wytopił z siebie nasion egoizmu, kto samolubnego dobija się szczęścia, ten go mieć nie będzie, bo dawcą onego jest Ten, co w ofierze i miłości, złożył wszelkie dary.

Sprawy ludzkiego żywota z dniem każdym więcéj się rozwidniają i pojęcie szczęścia już staje się mniéj zagadkowe. Dzisiaj ani osobnych światów, ani szczęść oddzielnych nie godzi się budować, gdyż żądane szczęście kosztem powinności i krzywdą ogółu, sprowadziłoby zgryzoty sumienia i szkody życiowe.

Bóg stworzył dla ducha przestrzeń tak szeroką, że gdy go wciśniemy w wąziutkie ramy—i szczęście będzie tylko pyłkiem i przyszłość senną marą.

Bóg tyle uczynił dla naszego szczęścia, dał nam światło i wolę, pozwolił zbierać ziarna zasiane na Krzyżu.

Samiśmy temu winni, jeżeli kąkol i chwasty porastają na niwie szczęścia, jeżeli się ono staje szatą Nessusa.

Ten co tak ludzkość ukochał, nie skąpi szczęścia, lecz według zasług obdarza, a każdy z chrześcijan, powinien pamiętać Zbawiciela słowa: *Jeżeli się człowiek nie odrodzi na nowo, nie wejdzie do królestwa Niebios.*

Zofja z Brzozówki.

JAŁMUŻNA,

(Z czytania Bractwa Miłosierdzia X. P. Skargi).

Piotr mytnik, idąc do cła w pewne rano,
Spotkał człowieka, co śród morskiej flagi
Na brzeg rzucony falą rozhukaną,
Z sił już wyzuty, drżący z chłodu, nagi,
Do stóp mu przypadł, żebrząc zapomogi.
On zasię zdjąwszy z siebie płaszcz swój drogi,
Wdział go ochoczo na jego ramiona.
Ale rozbitka pyszna szata ona
Wielce sromała; szedł więc między kramy
I sam przekupniom dał ją do sprzedaży.
A Piotr wracając, gdy w ręku kramarzy
Ujrzał i poznał drogi płaszcz ten samy,
Ciężka mu troska na serce upadła.
Przyszedłszy do dom, wielce zfrasowany,
Nie tknąwszy zgoła napoju ni jadła,
Zamknął się smutny między czterma ściany,
I bolał srodze i płakał rzewliwie,
Że nie był godzien, aby ów rozbitek
Miał z jego daru uczciwy pożytek,
I płaszcz ów nosząc wspomniał go chętliwie.
A gdy tak płacząc, usnął z tą żałością,
Stanął ktoś przed nim, piękny jako słońce,
Z krzyżem na czole i rzekł doń z czułością:
„Piotrze dla czego lejesz łzy gorące?"
A on, poznawszy Boga w téj osobie:
„Panie mój! płaczę, bom w ucisku srogim,
Bo co z Twych darów dajemy ubogim,
Oni to biorą nie w pożytek sobie,
Lecz na frymarki!"— A Zbawiciel swiata,
Bliżéj stanąwszy pyta dobrotliwy:
„Spójrz jeno na mnie; znanaż ci ta szata,
Co mię okrywa?"— Piotr spójrzy— o dziwy!
Płaszcz, rozbitkowi przez niego oddany,
Oblekał Pana nad Pany!
„Widzisz, rzekł Chrystus,— Oto ja w nim chodzę,
Bo mnie go dałeś, o dzięki ci za to!
Boś mnie nagiego okrył swoją szatą,
Boś mnie przyodział przeziębłego srodze."

Adam Pług.

AUGUST WANNOWSKI.

„Najlepszem znamieniem żywotności narodów jest cena, jaką one przywiązują do mężów zasłużonych. Nic tam dobrego wróżyć nie można, gdzie się cnota lekceważy, gdzie trud przechodzi bez uznania, ofiara bez współczucia, talenta i prace wyszydzone lub zawistnie uszczuplone." Słowa te jednego z najznamienitszych pisarzy naszych, natchnęły nas myślą i wskazały nam obowiązek przedstawienia czytelnikom naszym zasług męża, który cichą a sumienną pracą, na polu naukowem, nieposzlakowaną zacnością i prawością charakteru, zjednał sobie to, co dla człowieka najmilszą, najchlubniejszą może być nagrodą, to jest uznanie i cześć powszechną. Nie jest to imię wielkiego rozgłosu, bo ten który je nosi nigdy się za rozgłosem nie ubiegał, ale jest imię szanowne, przed którém każdy umiejący cenić ciężkie trudy zawodu nauczycielskiego, mimowolnie czoła uchylić musi. Chcemy tu mówić o znakomitym filologu, profesorze Wannowskim, który po kilkudziesięciu latach służby publicznéj, kilka wychowawszy pokoleń, w roku zeszłym opuścił na zawsze stanowisko swoje, z serdecznym żalem tych wszystkich, którzy go bliżéj znali i którzy mu naukę swą zawdzieczają.

August Wannowski urodził się dnia 28 maja 1801 r. w Dąbrowie, w ówczesnych Prusach Nowo-wschodnich, a dzisiejszéj gubernji Grodzieńskiéj. Ojciec jego, lekarz i fizyk powiatowy, mianowany przez rząd pruski radcą lekarskim, przeniósł się w kilka lat po urodzeniu Augusta do Białego-Stoku, gdzie młodzieniec, pod kierunkiem uczonego ex-pijara Maciejowskiego, późniéj rektora szkół Winnickich, uczęszczał do miejscowego gimnazjum. Śmierć ojca, nastąpiona w r. 1813, sprowadziła pozostałą po nim wdowę do Królewca. Tu August, złożywszy egzamin do tercji gimnazjum staromiejskiego, ukończył wyższe klassy pod dyrekcją Struvego. W r. 1819, mając dopiero lat ośmnaście, po świetnem przejściu popisu dojrzałości, zapisał się na wydział filologiczny uniwersytetu Królewieckiego. Pod kierunkiem takich znakomitości jak Lobeck, Drumann i młody docent Lachmann, rozszerzył, uzupełnił i ugruntował zakres swéj wiedzy, i nabył téj sumienności w badaniach i pracach lingwistycznych, jaka całéj jego późniejszéj działalności nauczycielskiéj i literackiéj tak wysoką nadaje wartość.

Złożywszy w roku 1824 egzamin na nauczyciela wyższego, wysłany został do Rastenburga, jako zastępca złożonego chorobą nauczyciela Hejneckiego. Obowiązki te pełnił przez półczwarta roku, a następnie powołany został na nauczyciela wyższego do gimnazjum Fridericjanum w Królewcu, gdzie pracował do Św. Michała r. 1829.

Odtąd poczyna się niejako nowy okres w życiu tego uczonego męża.

Poznańskie gimnazjum Marji Magdaleny, mieszczące w sobie ówcześnie klassy niemieckie i równolegle im oddziały polskie, posiadało do wykładu języków starożytnych ludzi, których pamięć roczniki tego zakładu dotąd zaszczytnie wspominają. Jednym z nich był uczony ziomek nasz Trojański, którego, właśnie powołano na profesora, do wszechnicy Jagiellońskiéj. Następcą jego został 28 letni Wannowski, w stopniu wyższego nauczyciela. Pierwsze zaraz chwile jego przybycia do Poznania, uprzyjemniła mu najżywsza radość jego uczniów, słyszących go przemawiającego do nich w języku rodzinnym. Objąwszy swoje urzędowanie, za dyrektorstwa Stoca roku 1829, dzielił potem przez lat przeszło czerdzieści bez żadnéj przerwy, wszystkie koleje i losy, jakie ten zakład pod następnymi dyrektorami: Ks. Prabuckim (1842—46), radcą Brettnerem (1846—66) i profesorem Engerem przechodził.

Nie łatwem to było zadaniem objąć po takich uczonych mężach wykład przedmiotu, który uprzedzona młodzież, jako mniéj przydatny w późniejszem praktycznem życiu, zbyt lekko ocenia. Młody jednak nauczyciel wywiązał się jak najzaszczytniéj z tego zadania. Gdy w r. 1834 podzielono zakład na dwa, to jest: na polsko-katolicki, ad St. Mariam Magdalenam, i na ewangielickie gimnazjum Fryderyka Wilhelma, dla uczniów narodowości niemieckiéj. A. Wannowski, mimo że był wyznania katolickiego, przeznaczony został z powszechnem zadowoleniem do gimnazjum katolickiego, i odtąd objął wyłączny prawie wykład języków: łacińskiego i greckiego w dwóch wyższych jego klassach. Z jakiem powodzeniem obowiązki te aż do ostatnich chwil

swego tamże pobytu sprawował, niechaj zaświadczy nieprzeliczony zastęp uczniów od lat 40; niechaj zaświadczą ci wszyscy, których głęboką erudycją, jasnością i gruntownością wykładu, darem objaśnienia najzawilszych trudności, zręcznością zajęcia ucznia i obudzenia w nim zamiłowania rzeczy, tudzież nigdy niezmordowaną cierpliwością, umiał do swego przedmiotu przyciągnąć; niechaj poświadczy ta okoliczność niewątpliwa, że co się dawniéj rzadko zdarzało, za niego wielu młodzieży wychodząc z gimnazjum, poświęcało się zawodowi nauczycielskiemu, a mianowicie filologji. Niechaj to wreszcie zaświadczą liczne jego prace, drukowane w programach gimnazjum, którego on był prawdziwą chlubą, i tak: 1) *De ratione qua Graeci in scribendis nominibus propriis Romanorum usi fuerint?* (1836). 2) *Antiquitatum Romanorum graece explicatarum specimen* (1843). 3) *Pliniana* (1847). 4) *Semasiologiae latinae specimen* (1855). 5) *Metonymiae ratio e scriptoribus latinis explicata* (1860). 6) *De promiscuo verborum activorum et neutrorum usu apud latinos scriptores;* chociaż prace powyższe stanowią niejako ułomek tylko dwóch dzieł jego większych rozmiarów, jako to: *Syntaxis anomalae Graecorum pars* (Lipsk u Vogla 1835) i *Antiquitates Romanorum graece explicatae* (Królewiec u Borntraegera 1843).

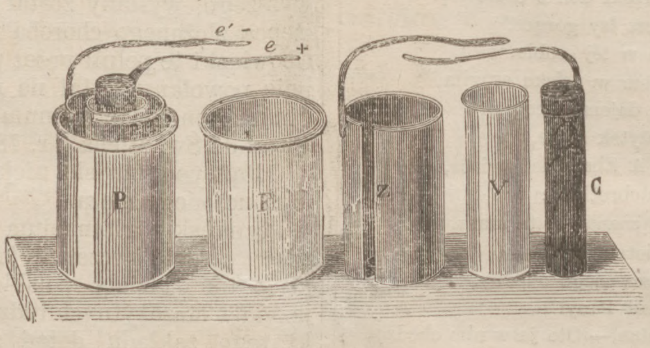


Fig. 2 (Strona 229)

Dla zamiłowanego w swoim zawodzie mistrza, nie dosyć jeszcze było pracy na katedrze i odpowiedniéj dla katedry pracy przygotowawczéj; nader często się bowiem zdarzało, że zgromadziwszy około siebie uczniów w godzinach wolnych, czytywał z nimi krytycznie pomnikowe dzieła piśmiennictwa Hellady i Romy, przelewając w nich z młodzieńczym zapałem, takież zamiłowanie starożytnych, jakiem sam zawsze się odznaczał; to też nie dziwimy się bynajmniéj: że skoro młodzieniec jaki z potrzeby lub okoliczności, przenosił się z gimnazjum Poznańskiego do innego zakładu, szczycił się przedewszystkiem w oczach swoich nowych egzaminatorów tem, że był Wannowskiego uczniem.

Sumienny, gorliwy, niezmordowany w pracy nauczyciel, w postępowaniu swojem z uczniami, umiał szczęśliwie potrzebną energję z wyrozumiałością łączyć; dla tego też młodzież pojmując stanowisko takiego nauczyciela, rozumiała doskonale i swoje względem niego obowiązki, i otaczała go zawsze czcią i szacunkiem nie zmyślonym. Skrypulatny aż do drobiazgów niemal, w sprawowaniu swego urzędu, domagał się tegoż samego od młodzieży. Otwarty, rzetelny, zawsze drogą prawdy postępując, brzydził się obłudą, nieszczerością, nadużyciem dobréj wiary nauczyciela i dla tego nie było nigdy w jego klassach przykładu niesforności lub tych płochych wybryków, jakiemi częstokroć lekkomyślna młodzież nieroztropność swoją lub złe wychowanie cechuje; i tego rodzaju zachcianki jednego roztrzepańca, nie znajdowały nigdy popleczników, bo je bezzwłocznie cała karciła klassa. (*Dokończenie nastąpi*).

ELEKTRYCZNOŚĆ DYNAMICZNA,

Galvani i Volta

I ICH TEORJE.

(Dokończenie, patrz Nr. 18-ty).

Jeszcze jaskrawsze dowody istnienia strumieni właściwych zwierząt, przedstawiają nam doświadczenia Nobilego i Matteucciego.

Obaj ci fizycy układali szeregiem udka żab, łącząc już to mięśnie, już nerwy i za każdym razem *zamykając taki stos* obwodem metalicznym na *galwanometrze* (t. j. w przyrządzie delikatnym, służącym do wykazania elektrycznych prądów) obserwowali istnienie *strumienia*. Strumieniem takim jest nic innego, jak szereg iskier elektrycznych, bez przerwy po sobie następujących. Bo elektryczność jak statyczna tak dynamiczna, niczem się od siebie nie różnią, tylko tem, że pierwsza działa chwilowo, druga przez pewien oznaczony przeciąg czasu, zależnie od źródła, dostarczającego elektryczność.

Z machiny elektrycznéj kręcąc ciągle jej korbę, otrzymamy tak dobrze strumień t. j. szereg iskier przebiegających po drucie, jak i ze stosu. Dla czego te iskry biegną po drucie, co je do tego skłania? trudno odpowiedzieć. My podajemy fakty istniejące, zbadanie ich przyczyny, należy jeszcze do przyszłości.

Hypoteza zawsze hypotezą, doświadczenia przekonywające, oto najprostsza droga do prawdy. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć o rybach elektrycznych. Istnieje ich wiele gatunków, ale najlepiéj znane i obserwowane są *drętwa*, *drętwik* i *sum Afrykański*. Ryby te posiadają znaczną ilość elektryczności, która wyrabia się w odpowiednio ku temu celowi, przez naturę zbudowanych przyrządach. Przyrząd taki u drętwy składa się z dwóch części symetrycznych, umieszczonych po bokach głowy i przedłużających często aż do skrzeli. Złożony z pryzmatycznych komórek, zaopatrzonych nitkami nerwowemi, na pierwsze wejrzenie przedstawia powierzchnię ziarnistą, pęcherzykowatą nakształt plastru miodu. W Nilu, w Senegalu, w jeziorach Ameryki, poławiają się te ryby obficie. Elektryczność stanowi dla nich broń potężną, zabijają one mniejsze od siebie żyjątka; koń nawet uderzony silnym prądem drętwika, pada i często wodą się zalewa. Aleksander Humboldt, nastąpiwszy na złapanego drętwika nogą, doznał tak silnego wstrząśnienia, że upadł na ziemię.

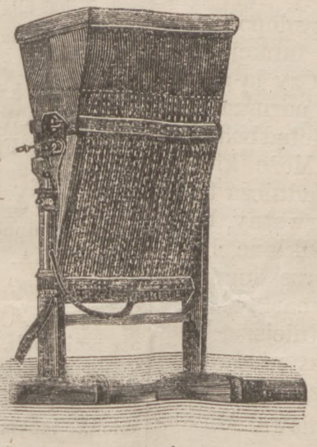
Przytoczymy tu opis sposobu życia i połów drętwików, jak to w „Obrazach natury" Humboldt podaje.

„Nietylko krokodyle i jaguary zasadzają się na konia w Ameryce południowéj; ma on tam między rybami także niebezpiecznego napastnika. Wody bagnistych okolic Bera i Rastro, napełnione są niezliczonymi drętwikami, czyli węgorzami elektrycznymi. Ciało tych ryb klejkowate, złoto-żółte, nacentkowane, wysyła siłę wstrząsającą, z każdéj części

swojego ciała dowolnie. Drętwiki dorastają sześciu stóp długości. Mogą położyć trupem największe zwierzę, gdy na raz w kierunku stósownym, rozbroją swoje naczynia tułówowe obfitujące w nerwy. Musiano niegdyś szlak stepowy, prowadzący z *Uritucu*, dla tego jedynie zmienić, że w jednym potoku pokazało się zanadto wiele drętwików, w skutek czego co rok mnóstwo koni, przeprawiających się w bród, tonęło z odrętwienia. Wszystkie inne ryby, unikają zdaleka tych strasznych węgorzów. Nawet czasem rybaka siedzącego na wysokim brzegu, nabawi drętwik przestrachu, gdy mu po zwilgoconym sznurku wędki, pośle zdaleka niespodziewane wstrząśnienie. Tak nawet z łona wód, wybucha ogień elektryczny. „Malowniczem widowiskiem jest połów drętwików. Zapędzają konie i muły do bagna, Indyanami gęsto obstawionego, dopóki niezwyczajna wrzawa, nie pobudzi śmiałych ryb do rozpoczęcia walki. Drętwiki wiją się jak węże na powierzchni wody, rażą zmyślnie pod brzuch nasłane na nie zwierzęta, z których mnóstwo ulega gwałtowności niewidocznych uderzeń, a reszta najeżywszy grzywę, parska mocno nozdrzami i ucieka przed srożącą się burzą z dzikim przestrachem. Lecz Indyanie zapędzają na powrót do środka bagna te biedne ofiary, długiemi trzcinami bambusowemi.

Powoli uśmierza się zajadłość nierównej walki. Nakształt chmur wypróżnianych pierzchają znużone ryby i potrzebując długiego odpoczynku i obfitego pokarmu dla uzbierania galwanicznej siły, którą w ciągu walki utraciły, uderzenia ich coraz słabiej wstrząsają. Nareszcie ciągłym hałasem stąpających koni zastraszone, zbliżają się bojaźliwie do brzegu, gdzie Indyanie witają je harpunami i za pomocą suchych, elektryczności nieprzewodzących drągów, na ląd wyciągają. Na tém kończy się ta osobliwsza walka koni z rybami. To co stanowi żywą, niewidomą broń wodnych mieszkańców, broń co przez zetknięcie niejednorodnych cząstek wilgotnych, budzi się, krąży w organach życia roślin i zwierząt, co rozległe sklepienia Niebios wśród grzmotów rozpłomienia, z żelazem wiąże żelazo i cichem wahaniem igieł sterniczych kieruje, wszystko to jak i kolor rozłożony promienia światła, jak dźwięk struny, świst wichru, wytryska z tego samego zdroju odwiecznej siły, która wszędzie rozpostarła swe działanie."

Tak to mówi wielki myśliciel. I nie dziw, że jego umysł porywa, unosi wielka wszechświata potęga. Zwłoki sinego wisielca, już martwe, już pozbawione życia, prąd elektryczny kurczy, wprawia w ruch; poruszają się ręce, otwierają oczy, pierś wzdyma się oddechem i usta głos dziwny wydają. Odcięta głowa wykonywa konwulsyjne ruchy, podskakuje na deskach szafotu. Uduszony królik, po kwadransie napowrót do życia powraca. Szczupak ze łbem odciętym, wije się i kręci jakby pływał po wodzie. Zimny podmuch wiatru, sparaliżował moje członki, muskuły straciły swą dzielność i siłę, już ich moja wola nie poruszy, człowiek leży bezwładny w opłakania godnym stanie. Kuracja elektryczna, zastósowanie strumienia przez czas mniej więcej długi, powraca uśpioną czynność organizmu, a przynajmniej znakomitą ulgę i polepszenie przynosi. Znając dokładnie anatomię, można przykładając dwie pałeczki zakończone gąbką i połączone drutami z przyrządem wywięzującym elektryczność, wywoływać najrozmaitsze ruchy. Obecnie używają przyrządu nazwanego cewką Rumkorfa o jednem lub kilku elementach stosu Bunsena. (fig. 2). Stos ten jest przyrządem następnej konstrukcyi: składa się z czterech walców mogących się jeden w drugi mieścić. Do słoju szklannego lub porcelanowego nalewa się 12 części wody i jednę część kwasu siarczanego. Wkładamy walec z cynku amalgamowanego pusty i z dwóch stron otwarty w ten walec, naczynie z gliny lekko wypalonej i wypełnione kwasem saletrzanym. W ten ostatni zanurza się walec z węgla, jaki wydobywany jest z retort do wydzielania gazu oświetlającego, (wypalonego z mięszaniny koksu i tłustego węgla ziemnego). Węgiel ten zakończony jest pierścieniem miedzianym i blaszką z tegoż metalu; do walca cynkowego za pomocą śróbki, podobnaż blaszka jest przymocowana. Skoro się cynk z węglem za pomocą blaszek połączy, następuje działanie stosu. Woda rozkłada się pod wpływem cynku i kwasu siarczanego na dwa swoje składowe pierwiastki gazowe: tlen i wodór. Tlen łączy się z cynkiem zamieniając go na tlenek cynku, ten zaś wchodzi w połączenie z kwasem siarczanym i tworzy siarczan cynku. Drugi gaz wodór, z rozkładu wody powstający, przenika dziurkowate naczynie gliniane i zetknąwszy się z cząsteczkami kwasu saletrzanego, zamienia je na kwas podsaletrzany, którego część się rozpuszcza, a część ulatnia. Z tego podwójnego chemicznego działania, powstają dwa prądy elektryczne. Te prądy, ta wzbudzona siła elektryczna dąży do blaszek zetkniętych, na zasadzie wzajemnego przyciągania, a że blaszki połączone z cewką czyli dwoma walcami owiniętymi drutem i wsuniętymi w siebie — więc przebiega po drutach nawiniętych na wewnętrznym walcu. To przebieganie, ta obecność prądów elektrycznych, pobudza obojętną elektryczność na drutach obwijających walec zewnętrzny, powstaje drugi strumień biegnący w kierunku przeciwnym i ten strumień po drucikach lub sznureczkach jedwabnych, srebrem przeplecionych, przechodzi tam gdzie go użyć i zastósować żądamy.



Najnowszy filtr Volmar'a (Strona 232).

Przymocowawszy te sznureczki do krótkich prętów mosiężnych, osadzanych w trzonkach drewnianych, przywiązuję z przeciwnej strony okrągły kawałek gąbki i maczam ją w słonej wodzie; przykładam jednę gąbkę na piersi, drugą na ramię—ręka się zgina: przykładam niżej na przedramieniu, gną się palce—kładę jednę gąbkę za ucho, drugą na skronie, marszczy się czoło, zamyka górna powieka, posuwam swą pałeczkę czyli elektradę niżej na policzek, usta ściągają się do uśmiechu; kładę na szyję, głowa się nachyla w tył, naprzód, w bok, jak mi się podoba.

Taki co się nie skrzywił lat kilka, mimowoli dzi-

wne wyrabiałby grymasy; ten co wytęża szyję i nos górą nosi, spuściłby go i mnie elektryzującemu niziutki oddał ukłon.

I takie skutki wywołuje cóż? oto nic innego jak skład i rozkład chemiczny danych pierwiastków. Chemja, to mechanika atomów; tam niedostrzegalnie dla oka odbywa się cały proces wzajemnego przyciągania i odpychania, tam drobniutkie niedojrzane cząsteczki, grupują się według praw nakreślonych naturą, a w tym ruchu martwych na pozór cząstek odgrywa ważną rolę, wyzwala się, ożywia ta siła, którą my elektrycznością zowiemy.

Najnowsze badania zwróciły szczególną uwagę na te zjawiska—jako może na najobfitsze źródło wytwarzania się elektryczności *i jedyną przyczynę jéj zjawisk.* Życie naszego organizmu, to ciągła wymiana, ciągła przeróbka dostarczanego zewnątrz materjału; życie istnieje dopóty, dopóki istnieje ruch stanowiących jego genezę elementów, dopóki istnieją procesy chemiczne i stoją otworem drogi gotowe do przyjęcia ich produktów; nic więc dziwnego że mózg i nerwy, posiadają elektryczność, że ona w danéj chwili wprawia w drganie część tego dziwnego systemu i przejawia się ruchem, czynem.

Nie przesadzając, jednak bardzo prawdopodobnie powiedzieć możemy: że myśl sama, jako funkcja mózgu niczem innem nie jest jak ruchem. Czy ją powoduje taż sama przyczyna co marszczy i porusza nasze muskuły, czy jaki inny nieznany dotąd bodziec? tego stanowczo wyrzec niepopobna. Może kiedyś rozplącze się węzeł gordyjski, może zasadnicza treść życia, jego przyczyna, jego impuls pierwotny, będą o tyle jasne i proste, o ile są dziś zawikłane i ciemne. Cieszmy się jak na teraz tem przekonaniem, że wszystko co nas otacza, nie jest martwem, że wszędzie czujemy tętno życia bądź silniejsze, bądź słabsze, że my sami jesteśmy maleńką niedostrzegalną cząsteczką ogólnego żywota przyrody.

Wieszczym genjuszem myśl tę wyśpiewał Mickiewicz.

Czem jest me czucie?
Ach iskrą tylko!

Czem jest me życie?
Ach jedną chwilką!

Lecz te co jutro rykną, czem są dzisiaj gromy?
Iskrą tylko!

Czem jest wieków ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?
Jedną chwilką!

Z czego wychodzi cały człowiek, mały światek?
Z iskry tylko.

Czem jest śmierć, co rozproszy myśli mych dostatek?
Jedną chwilką.

Czem był On, kiedy światy trzymał w swojem łonie?
Iskrą tylko.

Czem będzie wieczność świata—gdy On go pochłonie?
Jedną chwilką.

Chwila i Iskra—gdy się przedłuża—rozpala.
Stwarza i zwala—

Cóż więcéj nad te słowa natchnione—powiedzieć możemy?

Gustaw Doliński.

MIŁOŚĆ i MIŁOŚĆ.

DRAMAT w 2-ch AKTACH

przez

M. Dzikowskiego.

(*Dokończenie*, patrz Nr. 18-ty.)

DOLIWA. (*bierze za rękę Anielę*). Uspokój się, moje dziecko...

ANIELA. (*wyrywając rękę*). Ja spokojna... cha! cha! cha!.. jaka ja spokojna.,. (*biega z rozpuszczonymi włosami po scenie*), ja jestem bardzo spokojna!.. (*chwyta się za serce*). A tak mnie tu boli!..

WACŁAW. (*zwrócony do Anieli*). Panno Anielo! Co pani jest?..

ANIELA. (*staje*). Ach!.. kto ty jesteś?.. może ty jesteś szczęśliwy... może ty znalazłeś szczęście?.. powiedz mi, widziałeś ty szczęście?.. słyszałeś ty o szczęściu?.. milczysz... cha! cha! cha!.. niema szczęścia... niema.. ale ja wam powiem co jest... jest krzyż... na krzyżu rozpięty Bóg... a pod krzyżem rosną kwiaty... i spoglądają w górę na twarz ukrzyżowanego Boga!.. rano płaczą... w południe mrugają swojemi listkami... a na wieczór modlą się... i dziękują... i są szczęśliwe... bo rosną u stóp krzyża... a patrzą się w oblicze Boga... kwiaty są szczęśliwe... kwiaty są szczęśliwe!.. cha! cha! cha! a wy myślicie, że i ludzie... (*chwyta się za serce*). A mnie tak tu boli... okropnie boli... gdybym była kwiatem, toby mnie nie bolało... (*do Wacława*). Ale ja nie jestem kwiatem?.. nie jestem—nie?..

WACŁAW. Panno Anielo!..

JULJA. Fatalny dzień!.. Wszechmocny Boże! zlituj się nad nami!..

DOLIWA. (*sadza na ławce Anielę*). Dziecię drogie... usiądź... odpocznij... ty słaba jesteś...

ANIELA. (*siada na ławce*). (*opiera głowę o drzewo*). Ja słaba jestem?.. ja nie jestem słaba... ja jestem bardzo silna... ja tu (*pokazuje na serce*) mam kamień w piersiach... ale mnie boli... o! bardzo boli... (*do Doliwy*) mój panie... wszak ty jesteś dobry?.. powiedz mi, czy może być bolący kamień w piersiach?.. bo ja ci zaręczam, że mam bolący kamień... jabym wam pokazała... ale musiałabym swoje piersi otworzyć... daj mi noża... mój panie... mój poczciwy panie... A może byś ty żałował zatopić nóż w moich piersiach... a może i mnie saméj siłby zabrakło... ale słuchaj! (*do Doliwy*) daj nóż temu, co mnie nienawidzi, on nie zawaha się sięgnąć nim do serca... a jak uderzy silnie... to nóż się złamać może... bo ja wam powiadam, że ja mam w piersiach bolący kamień!..

(*podczas djalogu Anieli, Żarecki wchodzi nieznacznie, przysłuchuje się zdziwiony do końca*).

SCENA VI.

WACŁAW, ANIELA, DOLIWA, JULJA, ŻARECKI.

ŻARECKI. (*podbiegając do Anieli*). Co to jest?!.. Anielo, dziecię moje, co ci jest?!..

ANIELA. *nieprzytomnie*). On mnie nienawidzi!..

ŻARECKI. Boże! co ona mówi... ona jest nieprzytomna!.. Co tu się zrobiło?!.. (*spostrzega Julję*).

JULJA. Nie wiem... zasłabła...

DOLIWA. Odeszła od przytomności... pozwól jéj odpocząć... przelękła się...

ANIELA. (*w obłąkaniu*). Jakież to dziwne to serce ludzkie... i kocha... i nienawidzi... (*kładzie rękę na sercu*). Tak mnie tu boli...

ŻARECKI. Moje dziecko... moje drogie dziecko!..

ANIELA. (*j. w.*). Ach, to ty... mój ojciec... Czy wiesz... żem ja kochała poetę?.. ale on mnie nienawidził... a jednak

miał serce... I opowiadał mi raz ten poeta historję o biednéj dziewczynie... piękna historja... posłuchajcie: (*mówi powoli, jakby w natchnieniu*):

Raz przed sędzią dziewczę stało
Blade, ciche, i stroskane...
Twarz, od słońca ogorzałą,
Suche oczy, wypłakane
Kryła dłonią wychudzoną,
Poczerniałą i strudzoną!...

WACŁAW. (*n. s.*). To moje wiersze!..

JULJA. (*n. s.*). To jego wiersze!

ANIELA.

I rzekł sędzia do dziewczyny: (*namyśla się*).

WACŁAW. (*podchodzi do Julji*). (*n. s.*). Juljo!.. (*szepce jéj do ucha*).

JULJA. (*n. s.*). Boże, co ty mówisz!..

(*następuje chwilowe namiętne porozumiewanie się pomiędzy Wacławem a Julją — Żarecki i Doliwa zajęci Anielą — Żarecki trzyma Anielę za rękę i patrzy jéj w twarz, Doliwa stoi z drugiéj strony i również patrzy w twarz Anieli— tak zajęci, nie widzą jak Wacław i Julja powoli wychodzą i znikają ze sceny*).

SCENA VII.

ANIELA, ŻARECKI, DOLIWA.

ANIELA. (*właśnie podczas tego, kiedy zaczyna to mówić— Wacław i Julja powoli zaczynają wychodzić*).

I rzekł sędzia do dziewczyny:
,,Co to znaczą trzy źdźbła słomy,
Które nosisz wciąż przy sobie?"
„ ,,To pamiątka... skarb jedyny...
Mego smutku, znak widomy...
One znaczą, żem w żałobie...
. . . .
„ ,,Pierwsze więc tutaj, pierwszy ból mój znaczy...
„ ,,Wzięłam ze snopu, co miał iść pod cepy...
Na snopie w nędzy i niemej rozpaczy
Głodem morzony... zmarł mój ojciec ślepy!...

Czy słyszycie?!.. Ojciec jéj umarł... na snopie pełnym zboża, umarł z głodu... ślepy... kaleka... umarł z głodu na ziarnach pszeniey... Gdyby był ptakiem, byłby nie umarł... bo ptakami Bóg się opiekuje, a ludźmi... ludzie... A czy myślicie, że to już koniec nieszczęścia... gdzie tam!... słuchajcie, co mówi daléj sędziemu ta dziewczyna:

„ ,,Drugie— to rude, podniosłam z barłogu...
Gdzie brat w więzieniu... umierał z niemocy...
Brat, com go czciła najwięcéj po Bogu...
W dzień jeść mi dawał... a kradł dla mnie w nocy!..
Trzecie najkrótsze,.. biedna, opuszczona...
Jam je z własnego łoża zostawiła...
Kiedym kochała... a w końcu shańbiona...
Martwe... nieżywe dziecię porodziła!..
. . . .
Porwali mnie!.. i jak wściekli...
Przed sąd tutaj mnie przywlekli...
Czyż to zbrodnią się nazywa...
Że ja jestem... nieszczęśliwa!..
. . . .

ŻARECKI. Boże! ona obłąkana!.. kto jéj odebrał zmysły!.. (*chwyta Doliwę za rękę*). Słuchaj! Kto jéj zmysły odebrał!?. Juljo! żono!.. powiedz mi, co się tu stało?!. (*ogląda się*). Gdzie jest moja żona!.. (*znowu chwyta Doliwę za rękę*). Słuchaj, gdzie jest moja żona!..

DOLIWA. Wyszła ztąd...

SCENA VIII.

ANIELA, ŻARECKI, DOLIWA, SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY. (*podbiega do Żareckiego*). Pani odjeżdżając przed kwadransem z tym panem, kazała mi oddać list, (*oddaje list*).

ŻARECKI. (*gwałtownie*). Z tym panem... z jakim panem?!..

SŁUŻĄCY. Z panem Wacławem...

ŻARECKI. (*prędko roztwiera list; po chwili cichego czytania*). Uciekła z nim!...

(*chwieje się na nogach — podbiega do niego Doliwa i podtrzymuje go— służący oddala się w głąb' sceny i zdaleka patrzy*).

DOLIWA. Przyjacielu! pamiętaj o swojem biedném dziecku, które leży tam obłąkane... bo się chciało poświęcić dla ciebie...

ŻARECKI. (*przygnębiony*). Moja córka!.. o, teraz rozumiem... dla czego zwarjowała!..

ANIELA, (*w obłąkaniu*). Gdybym ja była kwiatkiem na łące... tobym się śmiała do gwiazd, do słońca... i tylko rano... raniutko... zapłakałabym srebrnemi łzami... i już późniéj, cały dzień byłabym szczęśliwa...

ŻARECKI. Zabiła mi córkę!.. Uciekła z nim!... Więc już nie ma sprawiedliwości!?..

ANIELA. (*zrywa się z ławki; podbiega do Żareckiego*). Ojcze! wszak ty mój ojciec!... uciekaj ztąd... tu była moja matka... wiesz ta matka, com kwiaty sadziła na jéj grobie... zleciała tu do mnie na bladych promieniach księżyca... miała srebrzyste skrzydła... i dużą promieniejącą gwiazdę miała na czole... i mówiła do mnie głosem anioła... tak, jak zawsze na ziemi mówiła, gdy mnie przyciskała do swojéj matczynéj piersi... Więc i teraz do mnie tak mówiła: ,,powiedz ojcu, niech ucieka, bo go nieszczęście goni... a ty go zasłonić powinnaś, boś ty jego córka..." a ja powiedziałam: On mnie nienawidzi — i w téj chwili matka zniknęła, księżyc zbladł, gwiazdy się przyćmiły— tak strasznie przelękły się tego okropnego słowa!..

ŻARECKI. (*bierze ją za rękę*). Anielo! moja córko! ty jesteś obłąkana z bólu i rozpaczy,.. a ja... och, oddałbym wszystko, gdyby mi Bóg odebrał rozum teraz!..

ANIELA. (*chwyta się za serce*). Tak mnie tu boli... (*ciągnie Żareckiego za rękę*). Chodźmy... uciekajmy ztąd... (*idą ku drzwiom*) bo on mnie nienawidzi!.. chodźmy... ja się poskarżę tam przed matką moją, że ja jestem niewinna... chodźmy, chodźmy prędzéj!,. O, widzisz tam matka już czeka na nas!.. (*zatrzymuję się*). Ty płaczesz?... chodźmy!.. moja matka zrąbkiem gwiaździstéj szaty, co jéj Bóg podarował, otrze ci łzy, mój ojcze!.. I będziesz szczęśliwy... Chodźmy! Chodźmy!...

(*Zasłona spada*).

KONIEC AKTU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.

PRZYRZĄDY w GOSPODARSTWIE DOMOWEM.

NAJNOWSZY FILTR VOLLMAR'A
do klarowania:
Wina, Piwa, Wódki i t. p. płynów.

Aparat składa się z czworokątnego leja metalowego albo drewnianego; wyrabia się w 6 wielkościach od 15 do 1000 cali kwad. powierzchni filtracyjnéj, następnie z worków, pompki ssąco-tłoczącéj, dwóch kiszek i stalug, oraz kranika. Najmniejszy filtr ma 15 cali wysokości, a 5 cali szerokości, największy 60 c. wysokości a 22 c. szerokości. Wielkie filtry zawieszone są w stalugach na osiach, około których obracają się; małe zaś spoczywają na dwóch stałych nogach.

Zasada téj operacji podobną jest do worków filtracyjnych Tajlora, używanych oddawna po fabrykach cukru, z tą tylko różnicą, że zamiast worków wiszących w cylindrze, zakończonych wężem, którémi płyn mętny od wewnątrz na zewnątrz odpływa, w konstrukcji Vollmar'a, worki filtrowe naciągnięte są na delikatnych rypkach, zakończonych odpływowemi rurkami, schodzącemi się do głównéj rury na dnie leja umieszczonéj. Jeżeli więc léj, w którym się znajdują pionowo obok siebie ustawione worki, napełnimy cieczą mętną, to rzeczona ciecz od zewnątrz przeciska się przez próżne worki i spływa zupełnie czysta rurkami do ogólnéj rury, u spodu aparatu umieszczonéj.

Ponieważ ustawia się w ten sposób obok siebie 6 do 12 worków, przedstawiających całą swoją powierzchnię massie filtracyjnéj, osiąga się więc tym sposobem największy rezultat. Stopień gęstości worków filtrowych, które się zwykle robią z bawełny, miarkuje się stósownie do potrzeby, przez posypanie proszkiem węgla drzewnego.

Wyższość tego aparatu nad innymi na tem polega, że operacja odbywać się tu może i pod wyższem ciśnieniem, aniżeli to, jakie płyn posiada. Do tego celu przy większych numerach, służy pompka *ssąco-tłocząca*, na rysunku z boku widziana. Pompka ta, połączona z kurkiem odpływowym czyli extrakcyjnym ciągnie czysty płyn z filtra lub na odwrót, wypycha mętną ciecz p r z e z worki od wewnątrz na zewnątrz do góry, tak że tamże również, jako czysta ciecz wypływa. Tę ostatnią czynność można także uskutecznić, za pomocą długiego pionowego węża, jeżeli aparat filtracyjny należy do mniejszych numerów, nie posiadających pompki.

Czyszczenie worków, odbywa się bardzo prostym sposobem, to jest wypłukaniem ich w wodzie.

Ceny owych aparatów wynoszą od 5 do 80 talarów ze skutkiem 8 do 200 litrów (kwart polskich) na godzinę. W Niemczech, a mianowicie nad Renem, używają ich po piwiarniach, winiarniach, restauracjach i hotelach. Dostać ich można u F. A. Vollmar'a w Bingen nad Renem.

Jan Pietraszek.

HUMORESKA.



(Wydawnictwo spekulacyjne).

KRZYŻ POCHYŁY.

Ginie w dali rząd topoli,
Krzyż pochylon w ślad za niemi;
Czemuż on się gnie do ziemi?
Co nas boli, jego boli.
Czyż mu smutno u rozdroża?
Wszak tu dziewczę codzień klęka,
Lśniąc u stóp jak trawka hoża
Jednak smutna Boża męka.
Kiedy ranny zabrzmi dzwonek,
Korny lud uchyla czoła,
Jest i kwiatek, jest skowronek,
Nie brak pieśni z harf Anioła.
Nie brak kropel rosy świeżéj,
Ni jutrzenki z Niebios złotéj;
Kiedy z drobnych chmur wybieży,
By promienne rzucić sploty.
Są brylanty z gwiazd lecące,
Są brylanty, co z ócz trysną,
I stokrotnie w słońcu błysną,
I łzą cichą mrą na łące.
Jednak spuścił krzyż ramiona,
Szara jesień skrzydłem miota,
Wspomnień wiosny mara złota
Na dalekiem Niebie kona.....
Więc gdzie ginie rząd topoli,
Krzyż się schylił pośród wioski,
Bo tych łanów dźwiga troski,
Co nas boli, jego boli!
Dziecię, nie żal się przed nikiem,
Ze czcią klęknij na mogiły,
Bo jedynym dziś pomnikiem,
Twoich łez ten krzyż pochyły.

Antonina Machczyńska.

Korrespondencja od Redakcji.

— Autorom wierszy: „*Do gondoli*" — „*Smutek*" — „*Do mojej piosnki.*"—Prace Panów nie mogą być drukowane w Opiekunie Domowym.

Innym autorom, którzy nadsyłają adresy swoje, Redakcja po ocenieniu ich prac, gdy się nie zgłaszają osobiście, listowne udziela odpowiedzi. Rękopismy nieprzyjętych artykułów—nie odebrane, po upływie kwartału ulegają zniszczeniu.

— P. *Korwina*, autora rozprawki „*O cechach Warszawskich*," oraz autora dramatu „*Ojcobójca*," obu w *Warszawie* zamieszkałych, upraszamy: o porozumienie się osobiste z wydawcą „*Opiekuna Domowego*."

— Panu *Wawrzeńcowi Radło* z *Pułtuska*, który nam radzi: aby ze względu dokonywanego niedawno przesadzania drzew starych z ogrodu Saskiego w Warszawie, na plac przed Teatrem na wprost Ratusza, podać w *Opiekunie Domowym*, sposób użyty do takowego przesadzania, oświadczamy: że przedmiot ten wyczerpująco był traktowany w № 1-m Opiekuna Domowego z 1865, gdzie nawet podano rysunki téj zkądinąd prostéj i niekosztownéj manipulacji, jeżeli ona dokonywa się nie sposobem administracyjnym, ale z ekonomiczną oszczędnością i znajomością specjalną przedmiotu.

— Przez pomyłkę drukarską w № 12-m *Opiekuna Domowego* z r. b. pod artykułem: „*Rozmowa na kolei żelaznéj w Skierniewicach*," wydrukowano nazwisko pana Zygmunta *Gawareckiego*, kto inny bowiem jest autorem téj pracy.

— Panu *A. M.* z gubernji **Wołyńskiéj.** Opiekun Domowy w wyjątkowych tylko razach i to arcydzieła poezji przedrukowywa. *Cudów Elektryczności* przeto przedrukowywać z Opiekuna Domowego, w Opiekunie Domowym niemożemy i radzimy Panu korzystać z niższych cen poprzednich Tomów Opiekuna, w Prospekcie wymienionych.

☛ **Patrz Dodatek.**

Dodatek do Nru 19go Opiekuna Domowego 1870 r.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Pociecha rodziny, Komedja w 3-ch aktach z Francuzkiego tłómaczona. Występy panny Romany Popiel, artystki Teatru Lwowskiego.

Komedja powyżéj zatytułowana, nie dla wszystkich jest nowością. Lat temu kilkanaście, była po raz pierwszy przedstawiona na scenie Teatru Rozmaitości i byłaby może już na zawsze pogrzebaną w bibliotece teatralnéj, gdyby panna Popiel, przybyła tu na gościnne wystąpienia ze Lwowa, licząc rolę w niéj graną do najlepszych w swym repertuarze, nie wskrzesiła tej komedji. Bądź co bądź publiczność tutejsza w większéj połowie, poraz pierwszy spotkała się na scenie z „Pociechą rodziny," a choć sztuka niekoniecznie bije w oczy zaletami, w powodzi jednak scenicznych Francuzkich elukubracji. „Pociecha rodziny" może i powinna zająć przeważniejsze miejsce, tak pod względem tendencji, jak i talentu komedjopisarskiego autorów, bo dwoch ją rzeczywi-ście pisało.

Wiecéj o wartości téj sztuki, już dzisiaj, nie czujemy się w obowiązku pisać, a tembardziéj poddawać ją szczegółowemu rozbiorowi, ograniczymy się jedynie na krótkiem opowiedzeniu treści komedji, którą wybrała sobie panna Popiel, aby się po raz pierwszy przedstawić Warszawskiéj publiczności; bo chociaż artystka ta skończyła tutejszą byłą Szkołę Dramatyczną, jednak po wystąpieniu na zwykłym popisie téj Szkoły, wyjechała do Lwowa i po latach trzech, czy czterech, na gościnne występy, jako artystka prawdziwa, przybyła do nas.

Jest dwoje powaśnionych małżonków (pani Ostrowska i pan Świeszewski) żyjących w dobrowolnéj seperacji od lat dwunastu. Niezgodę i rozłączenie spowodowała matka *żony* (p. Niewiarowska). W takiem położeniu rzeczy przybywa do domu, ukończywszy pensję, córka tych pogniewanych małżonków (p. Popiel), naturalnie do domu matki, z którą razem mieszka i owa babka, co rzuciła kość niezgody pomiędzy rodziców pięknéj jedynaczki. Córka w bardzo krótkim przeciągu czasu, odgaduje całą smutną sytuację rodziców, tembardziéj, gdy przybyły z Algieru kapitan, kuzyn całéj rodziny (p. Żółkowski), zręcznie obsaczony przez młodą dziewczynę, wygadał się przed nią z tem wszystkiem, co matka i babka, tak starannie ukrywały. Nie dość na tem, owa „*pociecha rodziny*" (p. Popiel), staje się tak dalece wpływową i despotką w całym domu, tak ją wszyscy serdecznie kochają, że nawet stara babka uparta i wadliwa kobieta, ulega jéj we wszystkiem. Tymczasem córka używa swojego despotyzmu w rodzinie na to, żeby rodziców swoich pogodzić. Jakoż sama się oświadcza krewnemu kapitanowi, nieśmiałemu do tego stopnia, że w obec kobiet języka w gębie zapomina, każe mu jechać do Paryża do ojca, aby go prosił o jéj rękę, w końcu jedzie sama do ojca i zręcznie, niby w interesie swego ślubu, sprowadziwszy go do mieszkania matki i babki, nadaje taki obrót rzeczom, że w obec córki, przyszlego zięcia i zawstydzonéj babki, mąż i żona, żyjący od lat dwunastu w rozłące, za sprawą córki, która ich gorąco kochała i którą oni pomimo seperacji wspólnie kochali, rzucają się w objęcia i napowrót odżywa miłość, spokój i szczęście, które miłość córki, prawdziwéj *pociechy rodziny* sprowadziła do domu.

Ile razy na scenie spotykamy się z nową-występującą osobistością, zwykliśmy, o ile tylko możebnem jest, otaczać ją pewnego rodzaju sympatją, bo znane nam są wszystkie cierniowe okoliczności aktorskiego zawodu, wszystkie przeszkody... wszystkie, posuwające się często, aż do niedostatku... I jeżeli wszędzie trzeba walczyć z przeciwnościami, aktor, ma ich do zwalczenia, dziesięć razy więcéj...

To też, jeżeli z pośród tego wszystkiego, wypływa na wierzch prawdziwy talent, pokazujący własną dłonią rozległą przyszłość przed sobą, nie trzeba się dziwić, że publiczność nasza, rozmiłowana w teatrze i kochająca swoich artystów, często, może po nad zasługi rzeczywiste, obsypuje oklaskami i za nadto wyraźnie mamifestuje się ze swoją sympatją...

Z takim prawdziwym talentem *czystéj wody*, spotkaliśmy się w osobie panny Romany Popiel, któréj artystyczną specjalnością są role *rzewno-naiwne*. Przedewszystkiem w grze téj młodziutkiéj artystki, uderza pewna stanowczość, niezmierna inteligencja i naturalność. Pojęcie postaci, którą ma przedstawiać na scenie, jest wyborne, szczegóły, z bardzo małym wyjatkiem, opracowane są z artystyczną misternością, a w całéj grze, przebija się taki wdzięk i taka poezja, że doprawdy, najobojętniejszego człowieka poruszyć musi. Ale jeżeli w „Pociesze rodziny," panna Popiel, nie wykazała całéj skali swojego talentu, to w sielance dramatycznéj „Zbudziło się w niéj serce," wprowadziła nas w zdumienie... Była to gra tak znakomita i tak pod każdym względem skończona, że w tym rodzaju, nie zdarzyło się nam nic podobnego widzieć...

Pannę Popiel uważamy za artystkę, nie skończoną wprawdzie, ale z bardzo wyraźnie określoną przyszłością i jeżeli tylko, jakie uboczne okoliczności, o które jak wiadomo, w teatrze tak łatwo, źle nie wpłyną na jéj karjerę aktorską, będzie to artystka *w swoim rodzaju*, prawdziwą znakomitością.

Skala głosu, jego dźwięczność, deklamacja, nawet wierność, nic niepozostawiają do życzenia, zrobiliśmy tylko tę uwagę, że w rolach, które są specjalnością panny Popiel, fizyczna siła głosu podrzędne zajmuje stanowisko; nie mając téj siły, która jest niezbędną dla artystek w rolach czysto dramatycznych, podnoszenie głosu nadnaturalne w scenach rzewnych, psuje harmonję w grze. Tak właśnie było w 2-gim akcie „Pociecha rodziny," kiedy córka chcąc odejść od ojca, zgorszona jego życiem, mówi: „*żegnam cię*," głosem nienaturalnym, bo naprężonym pod nad zwykłą skalę artystki, tymczasem byłoby nierównie lepiéj, naturalniéj i nawet efektowniéj, gdyby wyrazy te, wypowiedziane były w formie łkania.

Żywe, pełne gracji i świeżości ruchy i całe wzięcie się na scenie téj artystki, obdarzonéj obok tego bardzo miłą i powabną powierzchownością, dodają niemało uroku całéj grze. Ruch ręki do czoła, w chwilach bardziéj uczuciowych i przejmujących, jest prześliczny i bardzo szczęśliwy, należy jeszcze zrobić tę uwagę, że zbyt częste powtarzanie tego ruchu, chociaż bardzo estetycznego, przejść może w manierę, czego się każdy artysta przedewszystkiem wystrzegać powinien.

M. Dzikowski.

Wiadomości Techniczne.

— Reforma w fabrykacji gazu. Każde ulepszenie w fabrykacji gazu jest bardzo pożyteczne, bo czyni gaz tańszym i zbliża nas do możności użycia go w miejsce stałego opału. W tych miastach, w których gaz 12 razy więcéj kosztuje niżeli węgiel kamienny, są już okoliczności, które próbować każą, czy nie byłoby lepiéj palić gazem zamiast opałem stałym. Przy ogrzewaniu gazem zapala się go dopiero w chwili, kiedy grzać potrzeba i kiedy przedmioty mające być grzanemi są nad gazem ustawione. Ogień można każdéj chwili powiększyć lub zgasić, cieplik nie promienieje i nie rozchodzi się tyle daremnie na boki, co przy

spalaniu opału stałego, łatwiéj jest wreszcie ugodzić przystęp ilości powietrza, potrzebnéj do zupełnego spalenia opału. Przy niedostatecznéj ilości powietrza nie spala się opał należycie; przy nadmiarze powietrza traci się niepotrzebnie część cieplika, uchodzącego kominem z nadmiarem powietrza. Pomnieć trzeba, że opał stały nie spala się należycie od téj ilości powietrza, jaką teorya do jego spalenia przepisuje, ale wymaga około 60% więcéj powietrza, niżeli wymaga teorya. U gazu potrzeba daleko mniejszego nadmiaru powietrza. Nakoniec trudniéj jest wysoką temperaturę opałem stałym niżeli gazem otrzymać. Pomimo tych korzyści nie wytrzymuje porównania pod względem taniości palenie zwykłym gazem oświetlającym z opałem stałym. Fabrykacja gazu podług pomysłu *E. Schinz'a.* w Strassburgu dostarcza gazu o wiele taniéj niżeli zwykłe fabryki gazu oświetlającego. Z tego powodu pozwalam sobie udzielenie krótkiéj wiadomości, będącéj spolszczoną kopją tego co Schinz sam o rezultacie swoich prób donosi.

Schinz produkuje gaz przez działanie parą wody na mocno grzany węgiel drzewny i otrzymuje gaz zawierający w przybliżeniu jednę objętość tlenku węgla na jednę objętość wodoru. Wątpić nie można, że pomysł Schinza dozna dalszego udoskonalenia i taniéj od dotychczasowéj fabrykacji dostarczy gazu zawierającego kilka odsetków rzeczywistego gazu oświetlającego (naukowo etylenu czy exalyl'u ($_2CH_4$), lub innych wodorków węgla, które o 25% lepiéj oświetlają niżeli mięszanina tlenku węgla z wodorem. Gaz Schinza dostarczyłby bez wątpienia wodorków węgla, gdyby w mocno czerwonym żarze przez warstwę węgli przeprowadzony został. Chodzi tylko o tani sposób wykonania tego działania.

„Apparat mój, mówi Schinz, ma razem z kotłem parowym i kominem, $1,_{20}$ metra (50 cali długości), $0,_{42}$ metra ($17,_5$ cali) szerokości i $0,_8$ metr. (33 cale) wysokości. On zawiera dwie retort, które razem we wnętrzu pieca nie przedstawiają więcéj powierzchni ogrzewalnéj (wystawionéj na ogień), nad $0,_{0035}$ metrów kwadratowych ($0,_{042}$ stóp kwadrat.). Pomimo tak małych rozmiarów dostarcza on na godzinę 1 metr ($41,_{8622}$ stóp) kub. gazu, ciągle jednostajnego składu, zawierającego 1 objętość tlenku wegla (CO) na 1 obj. wodoru (H). Wielkie retorty fabryk gazowych, mieszczące w sobie 100 kilogramów ($6,_{10}$ pudów czyli 244 funtów) węglowca (węgla kamiennego), dają w 4 godzinny 22 metr. ($941,_0$ stóp) kub. gazu; na godzinę zatem $5,_5$ metr. (235 stóp) kub gazu. Powierzchnia tych retort, stykająca się z ogniem wynosi $2,_{636}$ metr. ($31,_{70}$ stóp) kwadratowych."

„Stosunek powierzchni ogrzewalnéj moich retort do tych fabryk gazu jest zatem jak:

$0,_{0035}$ do $2,_{636}$ czyli jak 1 do 753!

pod względem ilości gazu w godzinie jest stosunek jak:

1 do $5,_5$.

Produkcje te mają się zatem jak:

$$\frac{1}{1} \text{ do } \frac{753}{5,_5} \text{ czyli jak 1 do 136,}$$

kiedy ilość opału konsumowanego ma się jak:

319 do 909 czyli jak 1 do $2,_{85}$."

„Na jeden metr kub. gazu potrzeba podług praktyki w fabrykach gazowych $0,_{909}$ kilogramów (na 100 stóp kub. gazu $5,_2$ funt. węglowca.) Przy moim sposobie i małym aparacie wystarcza ta sama ilość, albo potrzeba najwyżéj na 1 metr kub. gazu 1 kilogram (na 100 stóp kub. $5,_{83}$ funt.) węglowca. Za to jest u mnie na, $0,_{0035}$ metrów ($0,_{042}$ stóp) kwadratowych powierzchni ogrzewalnéj na $3,_{60}$ metr. ($43,_{20}$ stóp) kwadratowych reszty powierzchni a ściany aparatu są cienkie. Pięć retort fabryk gazowych mają $13,_{180}$ metr. ($158,_5$ stóp) kwadrat. powierzchni ogrzewalnéj, a najwyżéj $8,_5$ do 9 metrów (102 do 108 stóp) kwadr. reszty powierzchni i ściany dużo grubsze niżeli mój aparat.

W moim małym aparacie jest stosunek powierzchni ogrzewalnéj do reszty jego powierzchni jak:

$0,_{0035}$ do $3,_6$ czyli jak 1 do 1029;

W fabrykach gazowych jest ten stosunek jak:

$13,_{18}$ do $8,_{75}$ czyli jak 1 do $0,_{66}$."

„Pomimo różnicy tak niekorzystnéj dla małego aparatu mego, jest małą różnica w ilości zużywanego opału. Produkcja jednego metra kub. mego gazu, którego nazywam wodnym, zużywa mniéj opału niżeli produkcja téj saméj objętości fabrycznego gazu oświetlającego. Przy użyciu dla obu tych produkcji aparatu jednakowéj wielkości jest różnica w opale jak: 1 do $2,_{85}$. W robieniu gazu wodnego $2,_{636}$ metrów ($31,_{70}$ stóp) kwadrat. powierzchni ogrzewalnéj dają na godzinę 753 metr. (31,522 stóp) kub. gazu. Aparat do gazu wodnego da zatem w 24 godzin 18,072 metr. (756,726 stóp) kub. a zwyczajny da tylko 132 metr. ($5,525,_{81}$ stóp) kubicznych gazu.'

„Przyznając, że dla różnych przyczyn nieprzewidzianych mniejsze rezultaty wypaść mogą, to i w tym przypadku podług powyższych danych przypuścić można, że w jednostce czasu mój aparat 50 razy więcéj gazu dostarczy niżeli równie duży aparat gazu oświetlającego dostarczyć może. Jeżeli zatem jaki zakład dla dziennéj konsumcji gazu 100 retort w ogniu mieć musi, to aparat gazu wodnego tylko dwie retorty téj saméj wielkości mieć potrzebuje dla wyprodukowania 100 metrów gazu wodnego."

„Tysiąc metrów kub. gazu wodnego zebranego pod dzwonem kosztują $40,_{35}$ franków (1000 stóp kub. 24 kop.) któreby kosztować powinny przy koszcie produkcji zwykłego gazu 1000 metrów kub. za $47,_{22}$ franków (1000 stóp kub. $28,_2$ kop.). Przy gazie wodnym potrzeba bowiem o połowę mniéj robotników, co znaczy 4 franki (na 1000 stóp. kub $2,_3$ kop.); powtóre $^4/_5$ części innych kosztów produkcji, $2,_{60}$ franków (na 1000 stóp. kub. $1,_5$ kop). przez co koszta produkcji 1000 metr. kub. i zebrania ich pod dzwonem zmniejszą się u gazu wodnego z $40,_{35}$ franków na $33,_{75}$ franków (20 kop. za 1000 stóp kubicznych)."

„Ciśnienie na gaz wynoszące 13 milimetrów jest niedostateczne do wydania jasnego płomienia, a wynoszące 22 milimetry jest nadto mocne. Biorąc jako średnie ciśnienie wynoszące, $19,_{61}$, siła oświetlająca gazu wodnego ma się do téjże gazu pospolitego, jak:

$19,_{61}$, do $15,_{79}$ czyli wynosi $1,_{242}$."

„Cena oświetlenia gazem wodnym wynosi zatem $33,_{75} \times 1,_{242} = 41,_{92}$ franki (25 kop. za 1000 stóp kub.), przy koszcie gazu oświetlającego $47,_{22}$ franki ($28,_2$ kop. za 1000 stóp. kub).

„Aparaty większe i mogące być jednym ciągiem dzień i noc czynne, zużywają oczywiście mniéj opału niżeli aparaty małe, które z przerwami są czynne i po kilku godzinnem ostudzeniu napowrót rozgrzane bywają. Mimo tego robię rachunek dla maleńkiego aparatu, który w godzinie 1 metr ($41,_{862}$ stóp) kub. gazu dostarcza, aby wykazać, że i taki nawet jest korzystnym."

1) Zużycie opału do ogrzewania aparatu na nowo czyli 4 kilogr. ($9,_{77}$ funt.) węglowca, t. j. dziennie na 12 metrów ($502,_{34}$ stóp) kub. gazu) 16 kilogr. 39 funt.). Sto kilogr. węglowca po 3 franki (100 funt. po $30,_8$ kop.)

$0,_{48}$ frank. (12 kop.)

2) Jeżeli na 1000 metr. kub. gazu trzeba 292 kilogr. węgla drzewnego (na 1000 stóp kub. $17,_1$ funt.) to na 12 metrów ($502,_{34}$ stóp) kub. trzeba $3,_5$ kilogr. 8,55 funt. których 100 kilogramów kosztuje 8 frank. (cen-

tnar po 82 kop). . . . . $0,_{28}$ „ (7. „)

3) Aparat kosztuje z przyborami 300 fr. (75 rs).

Rezerwoar kauczukowy na 12 metr. ($502,_{34}$ stóp) kub. gazu. . . . . 400 „ (100 „)

700 fr. (175 rs).

Kapitał ten rozłożony na 7 lat wynosi rocznie 100 frank. (25 rs).

czyli dziennie $\frac{100}{365}$ fr. ($\frac{25}{365}$ rs). . . $0,_{27}$ „ ($6,_{75}$ „)

4) Za utrzymanie ognia i inne czynności. . . . . $0,_{50}$ „ ($12,_{50}$ „)

Koszt 12 metr. ($502,_{34}$ stóp) kub. gazu wodnego . . . . $1,_{53}$ fran. ($38,_{25}$)."

„Dwanaście metr. ($502,_{34}$ stóp) kub. gazu wodnego starczy do zasilenia przez 6 godzin 12 lamp, wyrównywających każda 10 świecom stearynowym. Gaz każdéj z tych lamp kosztuje na godzinę $\frac{1,_{53}}{12,\times 6}$ $0,_{021}$ frank. ($0,_{525}$ kop.)"

„Fabryka gazu w Strasburgu sprzedaje swój gaz konsumentom jeden metr. kub. po 30 centymów (1000 stóp kub. po $17,_{92}$ rs.). Jeden płomień wyrównywający 10 świecom żużywa w godzinie 158 litrów, które zatem kosztują $0,_{047}$ fr. ($1,_{175}$ kop.), czyli $2,_{24}$ razy tyle co oświetlenie gazem wodnym."

„Gaz wodny może być przechowany w rezerwoarze skórzanym i podobnym do miecha, ale kauczukiem wyłożonym. Rezerwoary takie są nietylko tańsze od blaszanych wodą zamkniętych, ale mogą z korzyścią wszędzie, nawet pod dachem być ustawione i nadają się do oświetlania pociągów kolei żelaznéj i większych okrętów. W tym ostatnim przypadku może cieplik stracony fabryki gazu w kuchni być użyty." *J. B. Rogojski.*

— **Palenie kawy.** Celem zachowania kawie palonéj właściwego jéj aromatu, radzi prof. Liebig niezwłocznie po upaleniu, za nim kawa z piecyka wysypaną zostanie, posypać takową miałkim cukrem, biorąc na funt kawy łut cukru. Przez następne silne wstrząsanie piecyka, cukier rodzieli się równo i umiesza z kawą, utworzywszy na każdem ziarnku cienką powłokę, która w skutek podwyższonéj temperatury zamienia się w karmel, t. j. cukier palony, i staje się dla powietrza nieprzenikliwą. W tym stanie ziarnka kawy nabywają połysku, jak gdyby pokostem pociągnięte były i nie wydają prawie wcale zapachu, który wszakże po zmieleniu tem silniéj się objawi.

— **Czyszczenie butelek.** Do czyszczenia butelek i w ogólności naczyń szklanych, a mianowicie zatłuszczonych, wymagających częstokroć wiele trudu przy myciu, zalecają się czyste trociny, z dodaniem niezbyt wielkiéj ilości wody. Po kilkakrotnie powtórzonem wstrząsaniu butelką, zmieniając za każdym razem trociny, stają się zdatnemi do użycia takie nawet naczynia, w których trzymano płyny silnie woniejące.

ROZMAITOŚCI.

— **Nowe dzieła (W.)** *Życie Benvenuta Cellini*—przełożył z włoskiego Hieronim Feldmanowski, 2 tomy. Cena rs. 3 k. 20. Każdy ze znakomitych zbiorów pamiątek sztuki w Europie, posiada chociaż jeden okaz mistrzostwa Celliniego, który za czasów Karola V-go Cesarza Niemieckiego i Franciszka I-go Króla Francuzkiego, wielką cieszył się sławą i wziętością, jako rzeźbiarz a głównie złotnik-artysta. Staranne tłomaczenie p. Feldmanowskiego, przysparza naszemu piśmiennictwu jedno z bardzo ciekawych dzieł, świat artystyczny obchodzących. Życie to Benvenuta napisanem było przez niego samego w późnych już latach życia. Na język Niemiecki tłomaczył to dzieło Goethe i objaśnił przypisami.

Odrzucając to wszystko, co miłość własna Celliniego sama o sobie powiada, pominąwszy zbytnią niekiedy stronność i zarozumiałość, z jaką sądzi utwory rzeźby współczesnych artystów, potępiając wreszcie zbytnie raptusostwo w obejściu się z ludźmi,—niepodobna jednak czytelnikowi nie uznać w Cellinim wyższego, przodującego ducha pośród dość jeszcze ciemnéj społeczności ówczesnéj. Zacząwszy swoją karjerę od czternastego roku życia, od terminowania u jakiegoś złotnika, nie uspokoił się już do późnéj starości, to jest do chwili w któréj pisał swoje pamiętniki, a może i do śmierci. Kto nie czytał téj książki, nie może mieć pojęcia o ruchliwości, wrażliwości, przenikliwości i bystrości tego giętkiego i śmiałego umysłu. Tu przemawia się z Papieżem, tam stylem napuszystym zwraca się do Karola V-go, jakby jaki dyplomata na uroczystem posłuchaniu, tam kłóci się z kardynałami lub jednocześnie przebija którégokolwiek ze swoich nieprzyjaciół. To łamie nogę spuszczając się z szczytu zamku Ś-go Anioła w Rzymie, to dowodzi siłą zbrojną podczas wojny we Florencji, to ucieka z Francji, to wykonywa i odlewa swój posąg Perseusza, który do dziś dnia stoi na placu publicznym we Florencji. W najbardziéj rycerskich lub awanturniczych czasach, rzadko życia tak awanturniczego, jakie prowadził ten wiecznie bijący się i kłócący artysta. Tu się ściera sztyletem w jakim zaułku Rzymskim lub Florenckim, tam znowu walczy w podróży lub na łódce i zewsząd wychodzi jeżeli nie zwycięzko, to szczęśliwie. Ale najbardziéj malującym epokę ówczesną jest jego pobyt na dworze Francuzkim, dokąd go wezwał król Franciszek pierwszy, pamiętny opiekun sztuk i kunsztów. Czy może być co bardziéj uderzającego, jak naprzykład ta okoliczność: że Benvenuto po przybyciu do Paryża i po otrzymaniu w darze od króla pewnego pałacyku, nie mógł go wziąść w posiadanie, bo mu tego wzbronili burmistrz Paryzki i młodzi magnaci? Na skargi Celliniego król mógł mu pomódz tem tylko, że mu dał na piśmie akt darowizny pałacyku i rzekł przytem do niego: „poradź sobie jak umiesz." Szturmem więc musiał zdobywać i zdobył to, co mu król sam, ów bohater z pod Marignano i Pavii od siebie darował! Świadczy to o nader nizkim stopniu poszanowania prawa i porządku publicznego w kraju, który już był najoświeceńszym w Europie. Równie ciekawą jest chwila uroczystego przedstawienia Franciszkowi I-mu skończonego posągu Jowisza, który mimo wszelkie przeszkody obrażonéj za coś na Celliniego głównéj faworyty króla, podobał mu się bardzo. Rozgniewana kobieta, nie wiedząc już co za zarzut uczynić, zaczęła szydzić z tego, że bóg Olimpijski wykonanym został przez Celliniego w zasłonie. Słysząc to, zapalczywy artysta, zerwał zasłonę, którą dla przyzwoitości posąg opasał, a którą ta pani wzięła za wyrzeźbioną, przy mglistém świetle pochodni. Tym sposobem zadowolił i króla i—kobietę. Cóż się to gdzieindziej dziać musiało! Prawda i to, że wszystkiego ściśle za prawdę w opowiadaniu Celliniego brać niepodobna. Zawsze jednak pozostaje barwa ogólna wypadków i niektóre szczegóły życia ówczesnych wielkości. Wszystko to razem sprawia, że dzieło to czyta się z wielką ciekawością, tembardziéj że znajdzie się tam rozrywka i chwila zadumy dla umysłów najbardziej delikatnych, dla dusz najbardziéj czułych. Ileż np. poetycznym jest opis bytu Celliniego w więzieniu. Ile tam rozpaczy i rezygnacji, ile śmiałości i serca, jaka potęga duszy niczem niezmordowanéj i niezgnębionéj! Jaka wyższość człowieka, cierpiącego często niesłusznie! Chociaż z drugiéj strony możnaby było odszukać rzeczy, za które powinienby był cierpieć, bo często był nadto gwałtownym.

Jakkolwiekbądź, ciekawa to osobistość tego człowieka, jako przedstawiciela potężnego artystycznego ducha wieku Rafaelów, Michałów-Aniołów, Leonardów-da-Vinci i zarazem przedstawiciela stanu towarzyskiego swojego czasu. Na wystawie starożytności, odbytej przed kilkunasty laty w Warszawie w pałacu niegdy Augusta hr. Potockiego, były niektóre wyroby złotnicze ręki Celliniego.

— *Dzieje ideału* Powieść Jana Zacharjasiewicza, Warszawa 1870 r. Cena rs. 1 kop. 50. Dzieje ideału smutne to a prawdziwe dzieje—treści do nich dostarczyło życie. Stefan artysta, gorącéj duszy młodzieniec, szuka urzeczywistnienia swego ideału—spotyka w Dreznie młodą Jowitę, istotę wyższą duchowo —taką przynajmniéj z początku powieści maluje nam autor. Jowita także od dawna śniła o ideale, który poznaje w Stefanie. Oboje czują do siebie nieprzeparty pociąg, który następnie zmienia się w silne uczucie. Ale Jowita żyje w duszącéj atmosferze sztucznych wyobrażeń, pod jarzmem arystokratycznych poglądów. Musi więc taić swoje uczucie, któremu tymczasem cios zagraża. Ciotka Jowity, pragnąc bratankę wydać za mąż tak: aby dla niéj i jéj familji utorować drogę do stosunków w swojéj koterji, układa wspólnie z Marszałkową plan, aby Alfreda synowca téj ostatniéj ożenić z Jowitą. Alfred, zużyty marnotrawnik, z sercem styranem i ogromną szczerbą w majątku, decyduje się ożenić dla pieniędzy. Z żalem więc opuszcza Paryż i wesołą Celestynkę i przybywa do Drezna. Jowita z początku okazuje mu wstręt widoczny; ale pod wpływem ciotki i reszty familji mieszkającéj na Ukrainie, którzy do niéj piszą błagające listy aby się poświęciła dla uratowania rodziny, a mianowicie swoich pięciu siostr ciotecznych, których matka ją wychowała, słabnie w oporze. Śmierć Ciotki z Ukrainy dokonywa reszty—Jowita wyjeżdża z Drezna wtedy właśnie, kiedy Stefan dopiero co opuścił łoże boleści, które zaległ z powodu złamania lewéj ręki— a strzaskał ją spadłszy w przepaść, nad którą szukał kwiatka dla kochanki. Stefan zostaje ze złamanem sercem, a brat jego Wacław, którego poznajemy z początku zaraz jako gracza i człowieka wątpliwego honoru, kończy szczęśliwie swoją karjerę bogatem ożenieniem i daje bratu nader praktyczne rady. Jowitę artysta spotyka raz jeszcze: aby jéj portret wymalować za pieniądze —Alfred żeni się z nią.—Ostatni raz spotyka go czytelnik w przelocie, w Paryżu obok Celestynki. Powieść cała ciągnie się w listach, forma to trochę nużąca dla czytelnika, ale dogodna dla autora, któremu daje sposobnośc strzelać ognistemi rakietami myśli i zdań. Z tych niektóre wartoby wypisać złotemi głoskami, jak np. w rozmowie Stefana z nieznajomym: *Wieki podboju i zaboru nie przeminęły wcale, jakto nas mylnie w szkołach uczono, ale trwają ciągle, tylko rodzaj broni zmieniono. Bronią jest dzisiaj praca. Kto tu przegra, ten przegra wszystko.* I daléj znowu: *Ale nie trzeba zapominać, że dobry byt nie jest ostatecznym celem społeczeństwa, ale tylko środkiem do jego wyższych interesów.* Albo dalėj w liście Jowity, która mówiąc o małżeństwach dla pieniędzy, przyrównywa je do licytacji, na któréj wciąż wołają kto da więcéj? i potém mówi: *Gdyby przynajmniéj zrozumiano, że więcéj daje zacny i poczciwy—więcéj pożyteczny pracownik od próżniaka—więcéj człowiek wyższych dążności od egoisty—więcéj ten co pracą i zasługą dobił się stanowiska, niż skarłowaciały potomek hetmańskiéj rodziny.*

Ale też obok tych myśli szacownych, są inne dziwnie rażące, np. to pytanie, ta wątpliwość rzucona: *Kto lepiéj świat i życie pojmuje, czy ci co z pełną i rumianą twarzą noszą mnóstwo fraszek wykwintnych, czy ci zwiędli i wychudli, co kurcząc się od zimna i głodu, kroczą słabym krokiem do zimnych progów historji, która zimnym rylcem zapisze ich imiona.* Czy to sofizmat, czy jęk skargi bolesnéj? Dla ścigającego niewcielone ideały, nie jest przecie pobudką zimny rylec historji, tylko iskra niebieskiego ognia, wiecznie w jego duszy płonąca. Ona to na stos męczeński lub do krwawego cyrku staréj Romy prowadziła pierwszych wyznawców Chrystjanizmu. Ona przez burzę morza i palące piaski pustyni, wiodła zastępy krzyżowych rycerzy; ona i dziś jeszcze w nędznéj izdebce na poddaszu rozgrzewa skurczonego od głodu i zimna cichego pracownika na polu myśli—nawet takiego, którego nigdy nie dotknie rylec historji, bo forma nieposłuszna myśli, nie da mu stworzyć arcydzieła. Charakter Jowity z początku tak wzniosły i piękny, że czytając pytamy zdziwieni: jakim cudem Opatrzności w lodowatéj atmosferze wielkiego świata, wyhodowała się ta egzotyczna roślina zwrotnikowego nieba, w końcu karleje i upada niezmiernie. Prawda że w nią wmówiono obowiązek poświęcenia się, ale czyż taka wyższa dusza, w ten sposób pojmuje myśl ofiary? Poświęcenie wtenczas tylko zasługuje na to miano, gdy idea dla któréj coś poświęcamy—warta nieskończenie więcéj, niż dań złożona jéj na całopalenie. Czyż więc warto było poświęcać szczęście takiego jak Stefan, człowieka, którego egzystencja jest własnością narodu i ludzkości, dla szczęścia na swój sposób pojętego, pięciu córek Ukraińskiéj pseudo-magnatki—czy godziło się z takiem okrucieństwem złamać to biedne serce dla tego jedynie, aby pięć istot lękających się pracy i obowiązku, wprowadzić na lśniące salony. Zestawienie dwóch braci rodzonych i obraz ich losu przerażająco prawdziwy! tak, że niebezpiecznym stać się może w całéj swéj okropnéj prawdzie—bo może zwichnąć młode skrzydła, rozwinięte do lotu. Trzeba być szczytnie wielkim, aby iść na męczeństwo z całą świadomością swego przyszłego losu—lepiéj więc promykiem nadziei podtrzymać słabnących aby nie upadli. I Bóg wcielony byłby upadł pod swoim krzyżem, gdyby na swojéj drodze nie napotkał Szymona. Zadanie to trudne bardzo—ale dopełnić je łatwo temu, kogo Bóg obdarzył takim potężnym darem słowa, jakie otrzymał w udziele autor Dziejów Ideału. *Kornelja Drzewiecka.*

— **Najbogatszy człowiek w Ameryce.** Według dzienników Amerykańskich szczęśliwym tym śmiertelnikiem jest: P. William B. Astor, syn właściciela sklepu futer w Broadway, który dorobiwszy się znacznego majątku, pomnożył go rozmaitemi szczęśliwemi spekulacjami. P. William Astor kończył wyższe nauki w Heidelbergu i dzisiaj posiada fortunę, jak powszechnie utrzymują, około sześćdziesięciu miljonów dolarów, odziedziczonych w większéj części po ojcu, a w mniejszéj po swoim wuju. Spełniając wolę ojca, p. William urządził w miejscu jego urodzenia, t. j. w Waldorfle w Niemczech, zakład wsparcia dla biednych wszelkiego wieku, płci i wyznania, w którym sieroty kształcą się w rozmaitych rzemiosłach. Prócz tego znajdują się tu osobne oddziały dla niewidomych, głuchych i niemych. P. Astor, mówiąc o tym zakładzie, powiedział, pewnego razu do swego przyjaciela: „Dumny jestem z mojego Astorhousu (pałacu) w Nowym Yorku, ale dumniejszy jestem z Astorhousu w Waldorfle. Pierwszy bowiem może upaść, gdy tymczasem drugi istnieć będzie razem z Waldorfem, dopóki biedni istnieć będą.” Założona przez niego, na żądanie ojca bibljoteka, gmach wspaniały, obejmujący 139,000 tomów, w którym sam przyrząd do ogrzewania parą kosztował 10,000 cenioną jest na 750,000 dolarów. (Za same książki zapłacono 130,000 dolarów). Bibljoteka ta, ma, według zamiaru i ofiar P. Astor, który budowlę jéj rozszerzyć jeszcze postanowił, zostać najpierwszą w Ameryce i w całym świecie. Oto bogacz rozumny, który sercem pojmuje, dla czego Opatrzność takiemi obdarzyła go skarbami!

Wydawca, Mieczyński Adam.—w Druk. J. Jaworskiego.—Дозволено Цензурою.—Redaktor: Oskar Stanisławski.